TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 23. POZNAŃ dnia 6 Czerwca. 1862.

„Tygodnik Poznański“ wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1 i jednę czwartą tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl.śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 fr.; w Redakcyi 1 i ćwierć talara, albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego Redaktora.

ALBUM
z podróży na Wschód.

(Ciąg dalszy).

SMIRNA.

Nad błękitną zatoką Środziemnego morza,
W kraju ruin, poezyi, kwiatów i farysów,
Na przepysznym kobiercu śród palm i cyprysów,
Na wezgłowiu opartem o Pagu podnóża,
Rozrzucona w nieładzie cudnie malowniczym,
Przezroczystym eteru kfefem osłoniona,
Sznurem fali i wonią powietrza uśpiona,
Sławna swoim początkiem, dziwnie tajemniczym,
Przed dwudziestu wiekami podobno wyśniona,
Ciężkich dziesięćkroć zgonu doznała boleści
I dziesięćkroć wstawała do życia budzona,
Jak zaklęta dziewica arabskich powieści —
Dzisiaj jeszcze wdziękami czaruje przychodnia,
Niewolnica obcemu służąca dziś panu,
Sułtanka Anatolii, odaliska wschodnia,
Zwana imieniem Furnier, w języku Koranu.

Wybłysło słońce z za góry wysokiéj wielkim sierpem złocisto-czerwonym, zapaliło cudne blaski różowe po śniegach gór szczytów i zdjęło zasłonę z oblicza Smirny. Ukazało się miasto półkolem stojące nad zatoką o mnóstwie białych kopuł i wysmukłych menaretów, a między niemi nieruchome jak kolumny ciemne, wysokie cyprysy i wysmukłe palmy o wielkich, drżących od wiatru koronach. Tłem tego obrazu gaje cyprysowe i wzgórza bujnie porosłe drzewem i drobniejszemi roślinami, a oprawą wysokie góry, których szczyty śniegiem, a stoki borami okryte. Tuż nad miastem wznosi się góra Pagus, na niéj ruiny starożytnego Akropolis, niby połamany i z barw odarty diadem pięknéj królowéj anatolskiéj, Smirny, przeglądającéj się w cudnem zwierciedle zatoki, oprawionem w również piękne i wspaniałe ramy, jak obraz jego pani.

Początek Smirny tajemnicza pokrywa zasłona. Powstała podobno ze snu Aleksandra Wgo, jak Wilno ze snu Gedymina. W ciągu długiego istnienia swojego już dziesięć razy zmieniła zupełnie swoją postać, mieczem i ogniem niszczona. — Stanęliśmy na kotwicy; nie czas wdawać się w wywody historyczne. Przystań zapełniona była tylu okrętami, że cały las masztów utworzyły, ubarwiony banderami różnych narodów, chorągwiami i żaglami, a rojący się dołem ludźmi z całego świata i łodziami mniejszemi. W powietrzu tysiące bujało ptaków rozmaitych, których głosy łącząc się z krzykiem i gwarem ludzi, szumem wiatru, świstem pary łoskotem maszyn ogłuszającą składały orkiestrę portową. Spojrzałem po zatoce, nie można było dojrzeć bramy, przez którąśmy wpłynęli, tak doskonale zewsząd zamknięta. Wyspy bowiem u wjazdu na zatokę zbiegają się w oddaleniu, jak drzewa w końcu bardzo długiéj alei lub gwiazdy na niebios przestrzeni. Miłe budzi uczucie ten śliczny, zamknięty światek, nakryty przecudnem niebem, stokroć milsze po doznaniu tylu niebezpieczeństw wśród burzy. —

Ledwieśmy spuścili kotwicę, otoczyło nas mnóstwo łodzi, a gromada najrozmaitszego narodu przewoźników wdzierała się na okręt, jakby go szturmem wziąść chciała Każdy chwytał, kogo sobie upatrzył z podróżnych i ciągnął na swoją barkę.. Narzucali się przewodnicy mówiący kilku językami, zapraszali ajenci europejskich hotelów, a jeden z nich w pysznym stroju greckim mnie dręczył długo, okazując cały pakiet listów rekomendacyjnych. Prosił, zaklinał, aby mu powiedzieć, z jakiego kraju; chciałem pozbyć natręta; powiedziałem: aż on mnie dopiero począł męczyć i okazał dwa po polsku i dwa po francuzku przez Polaków napisane listy, polecające go jako dobrego przewodnika. — Obrałem sobie bardzo poczciwie wyglądającego murzyna, zawiósł mnie do handlu jakiegoś Francuza, gdzie za dzień z przewodnikiem, mieszkaniem porządnem i jedzeniem, co się podobało, płaciłem 10 fr.

Ledwie wstąpiłem na ulicę Smirny, znikł urok piękności zdala widzianéj, lubo malownicza piękność coraz nowemi zajmowała obrazkami. Domy powiększéj części z drzewa, lekko i niekształtnie zbudowane, których drzwi i okna niesymetrycznie umieszczone, wewnątrz brudne i ciemne, stoją nieładem w ulicach wązkich, niegodziwie brukowanych, a krętych i połamanych; śmieci wszędzie całe kupy. Co szersze ulice zastawione budami przekupniów najrozmaitszych przedmiotów, szczególnie ku jedzeniu służących. Prócz tych mnóstwo siedzi pod ścianami domów zmieniaczy pieniędzy, bo tu kupcy zazwyczaj nie zdają, i tytuniarzy. Ludzi wszędzie pełno, bo obyczajem wschodnim wszyscy dnie całe przepędzają w ulicach i na placach, chociaż żadnego nie mają zajęcia; przechodzą się, lub przesiadują, gdzie jaki spokojny kącik i ciągnąc dymy z czybuków lub ulubione paląc nardżile, przypatrują się życiu ruchliwemu i drzemią duszą, szczególnie Turcy i Arabowie. Przez ciżbę ludzi przedzierają się bezustannie jeźdzcy na pysznych koniach, najwięcéj białych, kapiących jedwabiem, złotem i śrebrem, albo na mułach, osłach i wielbłądach. Co chwila przechodzą szeregi wszelkiego

rodzaju zwierząt do noszenia ciężarów przeznaczonych, Bóg wie, jakie niosących rzeczy, a nieraz tak szerokie mających juki, że całą szerokość wązkiéj uliczki zajmują i trzeba się płazem przyciskać do ścian, aby nie być potrąconym. Prócz tych błąkają się i wylegają po ulicach gromady psów, które muzułmanie w domach trzymać się brzydzą, a z litości żyć im pozwalają. Użyteczne to bardzo zwierzęta w miastach wschodnich, bo one wszystko poprzątają, coby w kątach zgniliznę, a w powietrzu szkodliwe rozszerzało wyziewy. Psiska te biedne wszystko jedzą, prócz drzewa, liści, kamieni i błota. Jest to wcale niekosztowna policya porządku i zdrowia. Pomiędzy niemi łażą sobie bezpiecznie kury, gęsi, gołębie i brodate kozy, zazwyczaj czarne. Wszystkie prawie roboty odbywają się przy otwartych drzwiach, to też w niektórych ulicach hałas piekielny, a we wszystkich gwar i krzyk od wschodu aż do zachodu słońca, wśród dymów tytuniowych i drzewnych, bo kominy po domach mało gdzie są, i wyziewów licznych garkuchni. Najlżejszy zaś wiatr rozwiewa po ulicach tumany pyłów, plewy osiewanego po różnych podwórkach otwartych zboża, czasem i mąki, a silniejszy potrząsa jeszcze wszystko suchem liściem, pierzem różnego ptastwa i i innemi lotnemi śmieciami, u nas wcale nieznanemi. Któż w tym prozaicznym opisie dopatrzy piękna? a jednak całe to życie i widoki uliczne dostarczają mnóstwa malownych obrazków, pełnych życia i rozmaitości.

Żywych obrazków flamandzkiéj szkoły wszędzie aż do zbytku, ale są wśród samego miasta godne i najwyborniejszych pejsarzystów włoskich. Kilka choć lekko nakreślę dla scharakteryzowania Smirny, pozostawiając ich ubarwienie fantazyi czytelników, a otchnienie życiem ich własnéj, twórczéj wyobraźni.

Wzdłuż wybrzeża portu ciągnie się szeroka i długa ulica, a ponieważ nie wysoko nad zwierciadło zatoki wzniesiona, tryskają po niéj prawie zawsze drobniuteńkie kaskady pienin i wody wałów, bijących z szumem o jéj krawędź. Z jednéj strony stoją domy drewniane najrozmaitszéj struktury z wystawkami na słupach, wiele z nich ma wschody zewnątrz przyczepione do ściany a nakryte daszkiem wystawki. Są to mieszkania samych kupców, bióra marynarki i konsulów. Druga strona otwarta z widokiem na prześliczną zatokę z jéj górzystą oprawą i ogromne sklepienie najpiękniejszego w świecie nieba. Cała ulica kipi życiem i wre gwarem stu-językcznéj mowy; słońce oświeca najrozmaitsze postacie ludzi w dziwnie różnych, a po większéj części pięknych i bogatych strojach narodowych, użyczając jasnym kolorom świetnego blasku, a ciemnym dziwnego wdzięku. Tam gromada Greków i Ormian żywo rozprawia i głośno, mieniąc się pięknym ubiorem jak ptastwo krasno i złotopióre; indziéj siedzi podobna gromada na ziemi, owiana kłębami tytuniowych dymów, gra w karty, kości, domino; śmieje się i krzyczy na całe gardło z gniewu lub wesela. Dziwnie sprzeczny z tymi obrazkami swobody, wczasu i słodkiego lenistwa widok przechodzących ciągle, czasem całemi szeregami, ludzi obciążonych wielkiemi pakami, skrzyniami i worami, które roznoszą po różnych składach z okrętów lub z miasta na statki. Ciężary te, zwykle wielkiéj objętności, przywięzują szerokim pasem do czoła, a schyliwszy je aż do ziemi, niosą ciężar na grzbiecie, wsparłszy ręce na kolanach, co im nadaje pozór zwierząt jucznych, czworonożnych. Ludzie ci, zwykle Arabowie i Murzyni, smutny przedstawiają widok. Odziani tylko koszulą z grubéj bawełny, bez rękawów i kołnierzy, półnadzy, boso, tylko na głowie nawój lub chusty mający, nieraz wszystkie zbierają siły w ciężkiéj drodze, co widać po naprężonych ogromnie muszkułach i nabrzmiałych żyłach rąk, nóg i karków, a czerwonéj od wytężenia twarzy.

Gdy staniesz na chwilę, przesuwają się przed tobą tłumy w tak dziwnych a rozmaitych strojach azyatyckich, błyszczących świetnemi barwami jedwabiów, złota, srebra i cudnych tkanek wełnianych, iż zdaje się, że jesteś na wielkim balu maskowym. Tego złudzenia dopełniają postacie kobiet z całkiem zasłonioną twarzą, odziane izarami, u bogatszych białemi jak śnieg, haftowanemi złotem w śliczne arabeski. W całem mieście nie słychać turkotu żadnego wózka, bo po ulicach tak nierównych i wązkich nikt jeździć nie może.

Cała część miasta dolna, nad portem wyłącznie przez chrześcian zamieszkana, nosi nazwisko dzielnicy Franków i takie jak wyżéj przedstawia obrazy. Dzielnica ormiańska ma szersze ulice i czyste, a domy porządniejsze, murowane i bielone. — Cała zaś dzielnica przez muzułmanów zamieszkana, posępna, cicha, pusta. Wszystkie domy zamknięte, albo wcale od ulicy nie mają drzwi; okna gęsto zakratowane drzewem a wysoko umieszczone, dają tym mieszkaniom pozór więzień. Wśród miasta znajdują się piękne ogrody, pełne pomarańczy, mirtów, granatów, winogradu, migdałów, wonnych kwiatów, palm, kaktusów dziko rosnących i wszelkiego rodzaju roślin temu klimatowi właściwych. Po całem mieście widać rozrzucone cyprysy, dęby, plantany i palmy, mianowicie przed meczetami, przy łaźniach i na placach publicznych.

Dragoman mój zaprowadził mnie na sławny most karawanowy, jedyny na rzeczce M e l o s, tuż pod miastem płynącéj. Na wielkim placu trawą zarosłym, niebrukowanym z téj strony mostu, spoczywało mnóstwo wielbłądów, częścią objuczonych, częścią już z juków rozebranych. Pomiędzy niemi krzątali się przewodnicy, to poprawiając juki, to rozsypując po ziemi obrok z plew i lichego owsa po ziemi; inni siedzieli swoim obyczajem paląc fajki. Przez most ciągnęła niezmiernie liczna karawana do miasta z owocami, zbożem i towarami z głębi Azyi. W przeciągu godziny naliczyłem 218 wielbłądów i mułów. Każdy przewodnik ma zwykle po 5 lub 6 wielbłądów sznurem ze sobą połączonych; przodujący najładniéj ubrany i przynajmniéj jednym dzwonkiem obdarzony. Muły niosą żywność i przewodników, jeźli długim pochodem zmęczeni. — Na wielbłądach nie wielu jedzie, bo wolą im nakładać towary. Taka karawana tworzy jeden długi łańcuch, bo wielbłądy idą pojedyńczym szeregiem.

Tuż za mostem cały bór ciemnych cyprysów, a pośród nich świecą białe kamienie, wysokie, w różne wykowane kształty ze złotemi napisami, uwieńczone zwykle turbanem. Jest-to cmentarz muzułmanów, sławny ze swojéj obszerności i pięknych, a niezmiernie wysokich cyprysów. Wszędzie posiane kwiaty, jedne ręką ludzką, inne bożą, miłe wyziewają wonie, a słaniające się wśród tych drzew ciemnych bieluteńkie, milczące, zakfefione postacie kobiet lub siedzące nieruchomie przy grobach dziwnego temu miejscu dodają uroku. Tu pokój, cisza, barwy żałobne cyprysów i podobne cieniom umarłych ludzkie postacie, a obok wrzawa, śmiechy i krzyki, brzęk dzwonków, roje ludzi i zwierząt, najpiękniejsze widoki na miasto, rozkoszną dolinę rzeczki i dalsze okolice, oświecone pysznie słońcem, drgają życiem i w różne grają kolory. Niedaleko od mostu wznosi się góra Pagus, uwieńczona ruinami. Zwrócili-

śmy w tę stronę kroki, przebiegłszy chyłkiem pod karkiem jednego z wielbłądów ciągnącéj jeszcze karawany. — Początek jéj znikł już w ulicach miasta, a końca jeszcze dojrzeć nie było można. — Cały stok góry od strony miasta zawalony złomkami nagrobków, tu było przed wieki mieszkanie umarłych. Nieco daléj gruzy i zwaliska z różnych czasów. Wznosiły się tu niegdyś wspaniałe świątynie bogów greckich, późniéj rzymskich, cyrki, teatra, łaźnie, pałace staréj Smirny. Na ich ruinach bujnie porosły różne rośliny, wielkie nawet drzewa, a gruzy w urodzajną zamieniły się ziemię. Wszędzie leżą grube warstwy skorup muszlowych, do ostrzyg podobnych, jakby aż do tych wyżyn sięgało kiedyś morze. Tu i owdzie zachowały się jeszcze sklepienia sal i pokojów, sterczą ściany grubych murów w ziemię zapadłe, a gęsto porosłe roślinami.

Dragoman wskazał mi ruiny odwiecznego teatru rzymskiego. Brama stała otworem, ale tak już w ziemię zalazła, gruzami zawalona, iż głowy trzeba było uchylić. Wszedłszy do wnętrza, ujrzałem obszerną, sklepionym stropem nakrytą salę półkrężną. To scena teatru, dziś do pieczary podobniejsza. Jedynie przez mały otwór bramy wdziera się do wnętrza złotolity potok światła słonecznego. Dość jednego spojrzenia na taką ruinę, pomyślał zapewne mój przewodnik, bo wołał, abym wyszedł i wspomniał coś o skorpionach i wężach, gdy w tem usłyszałem w głębi starożytnéj sceny ciężkie westchnienie, a zwróciwszy się w ową stronę, ujrzałem dwa błyszczące, nieruchome kółka. Dziwnego doznałem w téj chwili uczucia podziwu i trwogi. Ustąpiłem na bok, aby odsłonić otwór, ujrzałem psa dużego, pokrwawionego; konał na stosie drobnych gruzów. Zalem ścisnął jego wzrok bolesny, zdający się błagać: pomóż mi! Uciekłem od tego smutnego widoku, przypominającego żywo tylu Łazarzy ludzi, którzy skonali w równieź okropnych mieszkaniach w téj okolicy, jako męczennicy za wiarę Chrystusową. Niedaleko bowiem od téj ruiny znajduje się miejsce, gdzie skonał Ś. Polikarp śmiercią męczeńską i cyrk w gruzach, gdzie niejeden zginął wykonawca Chrystusowego testamentu.

W przeciwnéj tym ruinom stronie, widać ze szczytu téj góry czarujące panorama: miasto, zatokę, wyspy tworzące jéj bramę, w lewo ogrody i meczety, a w głębi góry zielone; w prawo bór cyprysowy czyli cmentarz, most i rojące się koło niego ludzi i zwierząt gromady. Wracając do miasta, pełno się po drodze spotyka pamiątek starożytnych; cztery np. kolumny świątyni Jowisza, jeszcze stojące i dosyć dobrze zachowane, złomy filarów i nagłówków po części w ściany domów wmurowane i t. p. Przechodząc przez ciche i puste dzielnice mozlemów, zaszliśmy przed wspaniały meczet. Zdjąwszy obuwie w przedsionku, weszliśmy, było już po nabożeństwie; kilku tylko po kątach modliło się Turków, przesuwając w ręku duże paciorki różańca. Cała posadzka zasłana matami i dywanami, ściany białe, gdzie niegdzie mozajkowane w arabeski lub wykładane kafelkami malowanemi w esy floresy. U sklepienia mnóstwo wisi świeczników, jaj strusich i buńczuków białych lub farbowanych czerwono i niebiesko, kilka filarów podpiera sklepienie, na nich wiszą złotem haftowane na jedwabnéj materyi wiersze z Koranu, w jednéj ścianie szafka, gdzie święta chowa się księga, z resztą pusto, żadnego obrazu nie ma.

W innéj części miasta znajduje się mały plac, kamiennemi płytami wyłożony, na nim kilkanaście nagrobków z marmuru i płyt z napisami; są to groby znakomitszych chrześcian tuż przy kościołku P. Maryi, obsługiwanym przez Kapucynów. Nade drzwiami dziwny wyczytałem napis złotogłoskowy: o m n i a s i l u s t r e s a l i e n a e l i m i n a t e r r a e, n o n e s t i n t o t o s a n c t i o r o r b e l o c u s. Wnętrze kościoła ozdobione we wschodnim smaku mnóstwem jednabnych firanek żywobarwnych i cacek błyszczących, posadzka matami wyłożona, ołtarzyki małe a strojne, w każdym kątku nadzwyczajna czystość.

Smirna jest ogniskiem handlu dla całéj Azyi mniejszéj i południowéj Europy, dla tego też wszystkiego dostać tu można, na co tylko przemysł ludzki dotąd się zdobył. Sławne są smirneńskie bazary, zajmujące wielką przestrzeń w środku prawie miasta. Urządzenie ich oryginalne, czysto wschodnie. Całe ulice i place zastawione są bez ładu budami drewnianemi, pokrytemi płachtami, matami i deskami od słonecznego upału i blasku, duszne, ciemne, zapchane zawsze ludźmi, pełne wrzawy, dymu tytuniowego, woni różnéj i zgiełku. — W tych nędznych szałasach niezmierne mnóstwo kosztownych leży materyi i cacek. Złotogłowy, szale, kobierce perskie i tureckie, broń przepyszna, całe skrzynie korali, pereł, drogich kamieni, najfantastyczniejsze ubiory gotowe, lśniące złotemi i śrebrnemi haftami, wyroby złotnicze, mozajki, safiany itp., tysiące wabią kupujących, szczególnie kobiet. To też cały dzień tułają się gromadnie po bazarach, wszystkie zakfefione, nawet chrześcianki. Kupując, nie odsłaniają twarzy. Spotkałem pewnego dnia cały harem z 15tu złożony odalisek, z kilku niewolnicami i rzezańcem, z dobytym pałaszem na czele. Oblicza kupców tureckich i perskich poważne, uczciwe, dziwnie odbijają obok twarzy Greków i Ormian, na których się malują przebiegłość i chciwość. Rzetelność Persów i Turków powszechnie znana, wielki im zjednywa odbyt, a każdy się strzeże oszukańśtwa chrześcian. Nawet żydzi tutejsi ustępują w téj mierze pierwszeństwa Grekom i Ormianom, bo ani tak są przebiegli, ani też cierpiani przez muzułmanów. We wszystkich miastach wschodnich w największéj żyją pogardzie, wyjęci prawie z pod prawa, prześladowani przez wszystkie wyznania, a za najmniejsze przestępstwo bywają srogo karani.

Widok tłumów ludzi, towarów i pieniędzy, nagromadzonych tu z trzech części świata, nasuwa mimowoli myśl, że handel jest najpotężniejszym węzłem ludzi; około którego wspólnie się krzątają ludzie różnéj wiary, różnego języka i obyczaju, a z ciągłych stósunków wzajemnych wynika potrzeba jednakich praw i tolerancyi, znamionującéj postęp cywilizacyi. Narodom jednak mniéj od Europejczyków oświeconym wielkie handel wyrządza szkody, tak też i Turkom. Zaciera powoli prawa, obyczaje i zwyczaje narodowe, szerzy oświatę obcą przez napływających ustawicznie cudzoziemskich kupców i rzemieślników, a szczególnie przez konsulów różnych mocarstw, którzy ciągle intrygują na niekorzyść Turków. Ci cudzoziemcy wydziedziczają zwolna poddanych sułtana, bo są daleko od nich przemyślniejsi, czynniejsi i oświeceńsi, a zostają pod opieką potężnych mocarstw. Dla tego cudzoziemcy dopuszczają się tu bardzo często nadużyć bezkarnie, za które poddani sułtańscy zbyt srogo bywają karani. Ztąd szerzy się nieład i nieporządek po miastach tureckich, a im większe, tym większy. Lenistwo zaś, dobroduszność i ciemnota moslemów, przytem słabość rządu tureckiego, rozciągają ten stan chaotyczny na całe państwo. Rólnictwo zaniedbane, przemysł nędzny, administracya najniegodziwsza,

prawa dyktowane lub lekceważone przez zagranicznych konsulów, oto stan dzisiejszéj Turcyi, zapowiadający jéj blizki upadek. — Nie dziw, że te kraje obudzają taką chciwość w Europejczykach na ich posiadanie. Wszystko bogactwo żyzności, barw i światła wylewa przyroda na te kraje, zamieszkane przez najpiękniejsze ludy, którym pyszne stroje dodają jeszcze wdzięku. Szczególnie piękne są twarze kobiet, którym przypatrywałem się: Turczynkom przez perspektywę na cmentarzach, chrześciankom po kościołach, gdzie twarze zasłaniają, a najwięcéj przez gęsto zakratowane okno mieszkania pewnego Francuza, wychodzące wprost na wązką uliczkę wiodącą do meczetu. — Kobiety ztamtąd wychodzące miały zazwyczaj twarze odsłonione, dopiero przy wejściu na zwyczajną ulicę zakrywały piękne oblicza. Piękność ich twarzy jest wprawdzie martwa, posągowa, ale wielkie, pełne ognia oczy, w prześlicznéj oprawie i małe, pięknego kroju usta, wielki im nadają wdzięk i powab.

Pomiędzy mnóstwem odwiecznych pomników pokazał mi dragoman mój i grotę, w któréj się miał urodzić Homer, a indziéj ruiny kościoła smirneńskiego, jednego z owych siedmiu najpierwszych na świecie. Nie mogąc się już rozszerzać z opisem, dopełniam go krótkiemi dodatkami. Smirna ma przeszło 150,000 mieszkańców stałych, a zawsze kilka tysięcy gości dłużéj lub krócéj bawiących, między tymi mnóstwo konsulów i ajentów zagranicznych. — Życie tanie, żywności obficie, zwłaszcza tłustéj niezmiernie baraniny, chleba, owoców prześlicznych i ryb morskich. W mieście trudno się znaleźć, bo ulice bardzo kręte. a napisów nigdzie nie ma. 18go Grudnia był taki mróz, że woda na sadzawkach po ogrodach ścięła się w lód na pół cala gruby, a pomarańcza dojrzewały i wszelkie kwiaty rozsiewały wonie; nie widziałem zwarzonych. Po wszystkich ulicach palili sobie mieszkańcy małe ognie gałązkami i węglami drzewnemi, szczególnie kupcy w bazarach. Dym aż dusił, zimno było przykre, w ubiorze półnagich mieszkańców nie było widać żadnéj zmiany, tylko w ręce chuchali, zresztą boso. — Kobiety brzydkie Koptów, Murzynki, Egipcyanki i europejskie stare chodzą bez zasłon. Ormianie wystawili tu sobie piękny kościół, zewnątrz bogato marmurem ozdobiony. Żebraków mnóstwo, a muzułmanie chojnie rozdają jałmużny. Dzwonów po katolickich i innych kościołach mieć nie wolno, tylko biją młotkami w miedziane obręcze przed kościołami wiszące na słupach. — Kawiarnie zawsze zapełnione, zwykle brudne, ciemne i zadymione, a często z golarnią połączone, gdzie wyznawcom proroka łby golą i myją. W jednéj z nich widziałem obraz Mahometa w postaci lwa, a obok niego świątynia Kaaby w Mekce. Cywilizacya europejska bardzo już rozszerzona po mieście. Księgarnie, drukarnie, obrazy francuzkie i angielskie, dentyści, perukarze, galanternicy, cukiernie, wielka czytelnia na bazarach z dzienników w różnych językach. Francuzi wydają tu wielki dziennik w swoim interesie i języku: Journal de Smirne. — Z rachunkami pieniężnemi wielka bieda, bo obce codzień prawie inną mają wartość, dowolnie przez rządzcę miasta zmienianą. Najchętniéj brane są francuzkie i angielskie, ale papierowe żadne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Swiaty Jur.

Powieść w trzech częściach, przez Jana Zacharjasiewicza. Lwów 1862 r. W drukarni E. Winiarza.

Pod powyższym napisem wyszła z początkiem bieżącego roku powieść znanego chlubnie w świecie literackim autora. Na utwór ten znakomity i ważny mieliśmy zamiar już dawniéj zwrócić uwagę publiczności; rozliczne wszakże przeszkody dziś nam dopiero tego obowiązku dokonać pozwalają.

Kiedy życie narodu wre i kipi wewnętrzną walką lub przeobrażeniem, zawsze się to odbija i na płodach sztuki narodu, najczęściéj zaś w literaturze saméj. Dowodów téj prawdy mamy dużo wszędzie. Jest-to skutkiem wypływającym z natury rzeczy; są wszakże ludzie, którzy wpływ takowy ograniczyćby chcieli albo na publicystykę samą, albo przynajmniéj wykluczyć go z dziedziny literatury, a mianowicie powieści, utrzymując, że ostatnia chybia celu i zadania, jeźli się zaprząta kwestyami socyalnemi, a mianowicie politycznemi. Jak nieuzasadnionem jest zdanie owo, dowodzić nie potrzeba. Najlepszym zresztą dowodem rzecz sama. Widzieliśmy, jak na zachodzie, a szczególniéj we Francyi i Anglii, powieść i dramat przeobrażały nieraz stósunki społeczne i polityczne. Nie wspominając o innych, napomknę o wpływie politycznym skromnéj i niewinnéj powieści o Robinsonie. Niktby się pewno nie był spodziewał, że owa skromna powieść przyczyni się do tak wielkich zmian w świecie, jaką była rewolucya francuzka. A jednakże jest-to dowiedzioną rzeczą.

I nasz autor nie mniejszego, bo społeczeńskiego a raczéj politycznego, zamyślił dopiąć celu przez wzmiankowaną powieść. Postanowił on bowiem nietylko nakreślić obraz cudownie prawdziwie ocknionego z uśpienia życia narodu w najświeższych czasach, ale zarazem wyświecić i rozwiązać jednę z najważniejszych kwestyj swego kraju. Wedle mego zdania i jednego i drugiego powinien dopiąć celu. Tak bowiem umiejętnie i z talentem jął się rzeczy, tak jasno ją przytem wystawił; iż nie można wątpić o najpomyślniejszych zamiaru tego skutkach. Znajome aż nadto są wszystkim opłakane stósunki, w jakie kwestya tak zwana „rusińska" zręcznie i nie bez znanych celów poruszona w Galicyi popchnęła mieszkańców dawnéj Rusi Czerwonéj. Wiele bardzo mówiono i pisano w téj mierze, a przecież bez widocznych dotąd skutków. Zajął się i nasz autor rozwiązaniem, a przynajmniéj wyjaśnieniem zamąconéj téj sprawy, obrał zaś ku temu nie filozoficzną lub polityczną rozprawę, ale raczéj powieść. Co się tyczy ogółu czytających i skuteczność tego rodzaju wyjaśniania socyalnych stósunków chwilowych nie można było pod względem formy, mojem zdaniem, lepszego uczynić wyboru. Żadna bowiem i najgruntowniéj obmyślana i napisana rozprawa tyle i tak skutecznie na razie na ogół nie wpłynie, jak prawda ujęta i przeprowadzona w formie najbardziéj dla publiczności przystępnéj i że tak powiem — miléj. Rzeczą to wszakże niełatwą chwytać się podobnego środka. Trzeba mieć tyle pewności siebie i znakomitego talentu, jakie posiada nasz autor, aby nie chybić celu. Jest on zresztą pierwszym pisarzem naszym, ile mi wiadomo, który nie wahał się użyć formy powieści do rozwiązania, a przynajmniéj sprostowania kwestyi społecznéj i politycznéj bardzo wiel-

kiéj wagi. — Pomimo tego tak trudnego zadania, nie szwankowała powieść sama w niczem bynajmniéj. Tok jéj i przeprowadzenie płyną wartkim prądem od początku do końca; nigdzie, chyba pod koniec powieści, nie dopatrzeć przymusu i gniotącego ciężaru owego trudnego zadania, jakie sobie położył na czele powieści autor.

Jest-to utwór ze wszech miar znamienity. Napisany on piękną polszczyzną, osnuty na wypadkach żywotnych i wielkiéj wagi, urozmaicony obrazami z przeróżnych stósunków, przytem wszędzie odznaczający się głęboką prawdą. Szczerze, a zawsze z poczuciem artystycznem przedstawia autor życie, zabiegi i usposobienia osób działających. Autor szczególny przytem, a tak rzadki posiada talent, że z podanych sytuacyi w swéj powieści umie tworzyć szkice i przeplatać tak opowiadania pomysłami, jakby z umysłu rzuconych do wykonania dla artysty malarza. Szczególniéj odznacza się on tym przymiotem przy oddawaniu uczuć i sytuacyi kobiet. Pozy owe, jeźli się tak wyrazić godzi, albo się odnoszą do owego wzmiankowanego przedmiotu, albo też do natury wypadkom stósowny cień lub światło nadającéj. — Nie chcąc licznych przytaczać dowodów wymienię tylko, co do pierwszego twierdzenia, na stronie 17téj nakreślony obrazek zrozpaczonéj, zdecydowanéj i i osieroconéj kobiety; co do drugiego zaś wskażę na obrazek zdjęty z natury, a umieszczony na stronie 209 w tomie drugim, dopełniający obrazu, który się składa z występujących tam osób. Można w ogóle powiedzieć, że utwór ten jest tak bogaty w piękne przeprowadzenie przeróżnych charakterów i ubarwiony tak nadobnie i prawdziwie artystycznie kolorytem żywym, że się na zawsze wraża w pamięć. — Mówię to nietylko z własnego przeświadczenia, ale i ze zdania i z wrażeń, jakie uważałem przy téj sposobności u znanych mi osób.

— Już to pani przeczytałaś całą powieść? zapytałem damę, wręczającą mi książkę.

— Tak jest, — odrzekła. Oddaję panu Ś. Jura z kochaną, jedyną Dosią, z Waleryą, klasycznéj piękności i grozę poszanowania przez nią wzbudzającą — z powabną, śliczną, choć niestety tak płochą Heleną! — Polecam mu poczciwego księdza Onufrego, — gorącego zapaleńca Karóla ze złotem sercem, — mądrego i szlachetnego Wyrwicza, — godną jego żonę, ów wzór żon Polek; — polecam jeszcze i starego wojaka, a mentora głów zbyt zapalonych i poczciwych — starego Korybuta. Nie zapomnij pan przypatrzeć się Maryni, — owéj trzpiotce serdecznéj a żywéj, jak rtęć. Z tymi znajomymi najgorzéj mi się rozstać; o innych mniéj mi chodzi, bo oni też stanowią cień czarny w tym ślicznym, jasnym Zacharjasiewicza obrazie.

Chociaż w krytyce mało ważyć winno uczucie, a przeważać zdrowy i trzeźwy sąd o rzeczy, to w każdym razie z powyższego przytoczenia przynajmniéj tyle wynika, iż autor bardzo zręcznie, wiernie i dobitnie odrysować musiał charaktery, kiedy się tak silnie jęły serca uczuciowéj czytelniczki.

Nietylko wszakże samą ponętną formą powieści i przeprowadzeniem zajmującem zaleca się dzieło to autora; zawiera ono prócz tego nader ważny dokument historyczny, opracowany przez zacnego i najzdolniejszego pewno obecnie historyka, żyjącego w Galicyi. Dokument ten, zręcznie do formy powieści zastósowany, zaczynający się od strony 237, rzuca prawdziwe światło na stósunki dzisiejszéj Galicyi do innych ziem polskich, podając treściwą i z właściwą autorowi dokumentu erudycyą napisaną historyą ziem ruskich od najdawniejszych aż do dzisiejszych czasów. — Przy tem wszystkiem i o formie zewnętrznéj niezapomniano. Połączywszy trzy części powieści w jeden tom, nadano książce format przyzwoity i stósowny do tak poważnéj i ważnéj treści; przyczem tę zaprowadzono dogodność, iż zbyt może obszerną stronnicę podzielono na dwa łomy, a tem samem czytanie ładnego zresztą druku o tyle jeszcze ułatwiono, że się oko nie nurzy ściganiem przydługich wierszy. Tak więc nietylko ponętną, wewnętrzną i zewnętrzną formą dzieło to się zaleca, ale i pod względem historycznym nastręcza powieść niniejsza ważne materyały.

Przez wzgląd na ważność i doniosłość dzieła ograniczam się na podniesieniu samych tylko zalet powieści, nie wspominając o wadach téjże. Wad takowych małoby znalazł, ktoby je koniecznie wydobyć usiłował. Mojem zdaniem tyczyłyby się one tylko przeprowadzeniem niektórych scen i charakterów, cień tworzących w powieści. — Sceny bowiem owe, jak np. posiedzenia „Rusinomanów“ po traktyerniach, jako mniéj interesujące i potrzebne, mogłyby być opuszczone. Podobnie i niektóre figury podrzędne w powieści, jak np. ów komornik, informujący czytelnika co do osobistości niemieckich urzędowych i co do Rusinomanów, w skład towarzystwa owego wchodzących; figury, powiadam, podobne przeciążają tok powieści, dla tego lepiéj je było opuścić. Do podobnych figur policzyć należy i owego „adjunkta“ Heleny, Łukasza. — Są to wszakże w porównaniu z zakrojem całości i przez wzgląd na ważność dzieła drobne tylko usterki, o których przy znakomitych zaletach powieści mówić obszernie zbawiennem być nam się nie widzi.

Dopełniamy przeto obowiązku, polecając czytającéj publiczności powieść niniejszą jak najgoręcéj, nietylko z powodu artystycznych jéj zalet, ale nawet celem obznajmienia się z ważną i żywotną kwestyą, o któréj mówi. Ale zdaje się, że nasze polecanie zbyteczną jest rzeczą, bo publiczność już sama z siebie garnie się do powieści Zacharjasiewicza, i rozchwyca je na miejscu, niż się rozejść zdołają. Tak np. powieść jego „Na kresach“ w 1500 ex. odbita w saméj tylko prawie wyczerpnęła się Galicyi, także do do Warszawy ledwie sto kilkadziesiąt doszło ex., a do Księstwa ani jeden.

Berlin w Maju 1862 roku. *T. Klepaczewski.*

Rozmaite wiadomości.

Florencya w Maju 1862.

Z nowości florenckich donoszę wam o świeżo wydanych poezyach Salvatora Rosi i Józefa Giusti, których imiona we Włoszech wielkiéj używają popularności.

Józef Giusty, poeta ludowy, podsłuchał najtajniejsze myśli narodu i po prostacku, ale z tym zdrowym sensem, który niezapuszczając się w głębokie rozumowania, złe złem, a dobre dobrem nazywa, co mu na sercu leżało wypowiedział.

Wiersze jego powtarzają tu przy każdéj sposobności, co podobno najwłaściwszą jest miarą talentu. Jak Wirgiliusz i Horacy u starożytnych, jak z późniejszych Dante, tak z dzisiejszych Giusti, stali się, że tak powiem, filozofią zdawkową swego narodu. Śpiewny Petrarka, gadatliwy Ariost, zbyt wolny Metastazyusz, odpoczywają szczęśliwie, i tylko ci żyją wciąż na ustach, którzy pracowali około oczyszczenia dna rzeki narodo-

wych dziejów. — Alfieri, Ugo Foscolo, Silvio Pellico — Nicolini — Giusti — to imienia ostatniego stulecia powszechnym we Włoszech otoczone szacunkiem.

U nas w kraju małe albo prawie żadne mają wyobrażenie o bogatéj literaturze włoskiéj. — Z tłómaczeń Piotra Kochanowskiego znają część Ariosta i Tassa Jerozolimę, z tłómaczenia Korsaka Danta, znają najlichszy z utworów wielkiego Alfierego Virginię w przekładzie Felińskiego, otóż i na czem ogranicza się, w ogóle biorąc, nasza wiedza o literaturze włoskiéj.

Tłomacze nasi włożeni w język francuzki, jak owe znarowione konie, ciągną do Paryża po romanse, do Anglii i czasem do Niemiec — do Włoch niezagląda żaden od czasu ś. p. Akademii Padewskiéj; czy dla tego, że Włochy nie produkują romansów? ale i w téj części literatury znajdują się tu arcydzieła, a poezyi zbliżonéj duchem do naszéj, nie we francuzkiéj szkolarskiéj szukać literaturze — nie w nudnéj rymowanéj prozie Rasyna i Crebillona, a nawet w najnudniejszym przyjacielu naszym, autorze Psychy i rozmaitych religijnych jakoby westchnień, Wiktorze de Laprade. Od czasu jak Morsztyn przełożył Cyda, tak zwani klasycy polscy rzucili się do tłómaczenia Francuzów i literatura nasza straciła swój pierwotny charakter łacińsko - włoski, ową prawdziwą wytworność, równie w wyborze przedmiotów, jak i w języku, którą odznaczają się pisarze wykarmieni na literaturze łacińsko-włoskiéj, jak: Kochanowscy, Janicki, Górnicki, Petrycy, Sarbiewscy, Skarga, Potocki itd. Trębecki i Krasicki znali tę literaturę; póżniejsi co chwila wyciągają jakieś imię starożytne, jakiegoś bożka z mytologii, ale to jakby przez odbicie z Paryża, i dopiero Mickiewicz i Zaleski wracają do dawnych sprzymierzeńców. Adam tłómaczy Ugolina i do sonetów krymskich wzorów w poecie Laury szuka; toż samo Bohdan lutnię swoję na ton Petrarkowy nastraja; toż samo Zygmunt Krasiński, którego, muza co chwila przypomina wielkiego Fiorentino. — Jakoż właściwie epokę romantyków możnaby nazwać powrotem do literatury łacińsko-włoskiéj, do żywiołu poezyi prawdziwéj, wysokiéj, z zaniechaniem prozaicznéj francuzkiéj rymotwórczéj sztuki.

Poeci niebiorący zasiłku z zewnątrz, choćby z niewiem jak potężnym talentem, muszą się zużywać, ile że jak człowiek s a m exystować nie może, tak i myśl jego bez spólnictwa z myślą powszechną zbyt ciasne zakreśla koło. — Nikt nienazwie Danta naśladowcą Wirgillego, mimo że cały skielet komedyi w Enejdzie się znajduje; Mantuanczyk nienaśladował Homera, chociaż Enejdy najpoetyczniejsze ustępy znajdują się w Odysei. Goethe nienaśladował Marlowa, chociaż od niego wziął całego prawie Fausta, jak Szekspir swoich poprzedników, których dramaty po swojemu przerabiał, jak Sarbiewski, jakkolwiek drugim był nazwany Horacym, ani Alfieri Eschyla; nie ma więc obawy, że studjując obcych wpadniemy w naśladownictwo, albo oddalim się od tego, co nas najbliżéj dotycze, od narodowych bólów, — przeciwnie w towarzystwie tych, którzy po równie krwawych drogach w przeszłości stąpali, bezpieczniéj nam będzie, raźniéj; historya świata nie od dziś dnia się poczyna, i pokrewieństwo w dziejach i toż samo i wszystkich exystuje od tak dawna, jak człowiek exystuje; nie pątrzmy przeto jedynie w siebie i niekontemplujmy siebie, ale wejdźmy w związek z historyą nam podobnych i przyznajmy się do tego niepoznając i nieokrywając się w togę. Znajomość literatury włoskiéj dla pisarzy naszych zdaje mi się rzeczą konieczną, choćby dla tego samego, żeby nie wchodzić w związek z duchem literatury angielskiéj, o któréj słusznie powiada Michelet, że ma w sobie coś tajemniczego, jakby z téj wyspy wężów nic innego nad przekleństwa i życzenia starego kusiciela usłyszeć nie można było; taką jest muza Byrona, Szekspira i Miltona; syk wężowy wyspy przerzyna się przez wszystkie utwory angielskich poetów.

Kiedyś w tych czasach, na murach florenckich, czytałem napis węglem wielkiemi literami:

> Europae populis ultro plaudentibus, esto
> Italiae tandem, libera Roma caput.

Wiersze te i znane Giustego;

> Non mi pave idea si strana,
> La Republica Italjana
> Una e indivisibile

mogą posłużyć za dewizę do wszystkich tego poety utworów. Rzeczposp. włoska ogłaszana i reprezentowana na Capitolu, oto idea, któréj całe swe życie poświęcił.

Nie wchodząc ze stanowiska innych narodowości w rozbiór téj zasady, o ile ona dogodną jest albo niedogodną obcym interesom, to pewno, że we Włoszech stała się wyrazem myśli wielkiéj większości, tak że ją prawie narodową a Giustego najbardziéj włoskim pisarzem nazwać można.

W ośmnastym roku życia Giusti rozpoczął swój zawod poetyczny i jeden i ten sam charakter od początku do końca przechował; — śmiech na ustach jego częstym gościem bywał, łzy przychodziły do oczu, ale się cofały wewnątrz, bo i cóż ludziom po téj, jak powiada Szekspir, g ł u p i é j w o d z i e; lepiéj się śmiać ze zdrady przyjaciół, ze złości nieprzyjaciół, z hipokryzyi, z uczoności niedokończonéj, z dyplomacyi, siostry oszukaństwa i z udawanéj cnoty; — rozumie się, że wyższym jest kto z bólem na te nędze patrzy, ale ma także wartość i taki, który jak Giusti, nie tracąc wiary świętéj i prawdy wiecznéj, doczesne mizerye jak liche głupstwa traktuje.

Półwysep włoski na karcie jeograficznéj tworzy formę obówia, Giusti na ten temat napisał wiersz p. t. but (lo stivale), w którym tak się o ojczyźnie swéj wyraża:

„Nie będę wyliczać wam litanii moich amatorów, długaby to była sprawa, ale najsławniejszych godzi się wymienić i owszem: jakie przechodziłem koleje, jak się stawałem własnością jednego po drugim złodzieja; — jeden wdziawszy mnie na nogę, wrzeszczał: biada temu, kto go ruszy; potem ksiądz chciał mnie naciągnąć, potem Tedesco (Niemiec), więcéj jak cały wiek siedziałem na nodze kupca, który nosił mnie aż do Levantu. Hiszpan obuwał się we mnie, Francuz i kto chciał, i tak wykrzywili piękny but, który cały świat niegdyś przewędrował. Och! nieszczęśliwy but; spowiadam się obecnie wszem i każdemu z osobna, że mi przyszła waryacka idea zmienić stopę, żeby zmienić fortunę. Największe złe wyrządzili mi . . . . . wasza maligna i senza discrezione; — szczęściem, że mam za sobą decretalia, które księżom butów nosić zabraniają, i czekam jakiéj poczciwéj nogi, byle nie niemieckiéj i nie francuzkiéj; m a u n a g a m b a v o r r e i d e l m i o p a e s e, nogi z m o j e g o k r a j u. — Do naprawy moich dziur trzebaby mi czegoś więcéj, jak szpagatu i drewnianych ćwieków — wydatek będzie duży i trud niemały; trzeba zeszywać kawałek po kawałku, oczyścić etc., ale per Dio dobregoż mi przywołajcie szewca, a potem widzicie, jakie ja to mam kolory: tu niebieski, tu czerwony, tu czarny, tu biały, proprio un arlechino; owoż jeźli mnie chcecie na prawdę wyporządzić, zmiłujcie się, dajcie mi jeden kolor, etc.“

Ta przypowiastka posłużyła na znak porozumienia się patryotom; chcesz buta? znaczyło i znaczy dotąd: chceszli Italii? — Karykatury, komedye, farsy uliczne od kilkunastu lat na ten temat Giustego odgrywają się po całych Włoszech.

Sonet Tedeschi i Granduca (Niemcy i wielki książę) wyborny jest z tego rodzaju wierszy.

Niegdyś niemiłe nazwisko Tedeschi,
Brzmiało inaczéj, niż owe Granduca,
Wtedy Toskańczyk, gdy mówił Granduca,
Nie myślał mówić wyrazu Tedeschi.
Lecz dziś złączono tak szczelnie Tedeschi,
Z głosem tak różnym przed laty Granduca,
Że już Tedeschi znaczy też Granduca,
Jak i Granduca oznacza Tedeschi.
I rzeczywiście, że rodzaj Tedeschi
Zdać ma rachunek, jak rodzaj Granduca;
Granduca siedzi u nas przez Tedeschi,
Tedeschi siedzą u nas przez Granduca,
A my Tedeschi płacim i Granduca.

Jak również dyalog między Markizą i Astrologiem:

Astrolog: Jeźli w tę różczkę magiczną
Wierzysz łaskawa pani,
Twe dziecię pożądane
Ujrzysz w miesięcy ośm.
Od ciebie teraz zależy
Wybierać jego stan,
Od ciebie go uczynić
Bogatym i szczęśliwym.
Chceszli mieć w nim astronoma,
Umysł silny i wysoki? . . .
Markiza: Los Galilea mnie tworzy
I Mikołaja los.
Ast.: Może chcesz go królem mieć
Sławnym po wszystkie lata?
Mark.: Wygnańca na świętą Helenę,
Jeszcze dość świeża data.
Astr.: Chceszże, by ogień niebiosów
Swoim go zapalił czarem;
Chcesz go widzieć nieśmiertelnym
Naszéj Italii Pindarem?
Mark.: Prawdę mówiąc Astrologu
Nie ma się zapalać zaczem.
Torkwato umarł w barłogu,
I Dante umarł tułaczem.
Ast.: To więc dusza niewzruszona
Ma być z niego, jako onych,
Regulusa lub Katona? . . .
Mark.: Precz odemnie te życzenia,
Dziecku memu chcieć więzienia . . .
Ast.: Nie ma czasu do stracenia,
Gwiazdy, o pani szlachetna,
Jednę dają chwilę jeszcze
Do namysłu, więc się spiesz. . . .
Mark.: Zróbmy z niego . . .
Ast.: Przeznaczenia dłoń żelazna
Waży los istoty żywéj. . .
Mark.: Oto, żeby był szczęśliwy,
Zróbmy z niego . . .
Zróbmy . . . błazna. —

Czasami poeta podnosi się do górniejszych przedmiotów, chce wybiedz w kraje Dantejskie, ale żywioł ludowy ściąga go na ulicę, — i co smutkiem zaczyna, śmiechem kończy. — Pewnego razu nie wiedząc, z kim ma do czynienia, zdjął kapelusz przed waryatem; za co strofowany, odpowiada wierszem kroju Horacego:

Śmij się Emilu, że wchodząc do bramy
Nieszczęśliwego obłąkanych domu,
Zdumion widokiem zbyt straszliwéj nędzy,
Odkryłem głowę.
Gdyby się miało zdejmować przed wszystkimi,
Którym brakuje sensu pod czerepem,
Ćwiekiemby trzeba kapelusz przytwierdzić
Do czuba wierzchu.
Uczcić nieszczęście było mym zwyczajem
Bez faryzejskiéj udanéj litości,
Patrząc spostrzegam na dotkniętym ciężko
Prawicę bożą.
Obok waryata witać także zwykłem
Mój lud italski, jak wielki, niewolny,
Na widok tylko głupców przemądrzałych
Przechodzę z wzgardą.

Dowcipnie ktoś to powiedział, że dawniéj pochlebiano panom, dzisiaj ludom, czemu co do rozsądnéj prozy nie zaprzeczę, często bowiem daje się ona sprowadzać z prostéj drogi i pełza raz u złoconych stopni, to znowu po zabłoconych szynkowniach, uderzając czołem raz temu, raz owemu, stósownie do osobistego interesu; starsza jéj siostra poezya, wszakże z wyjątkiem panegiryków, na czerwonym czy czarnym atłasie (ile że równéj ceny są hipokryzya czerwona jak i czarna) nie poniżyła się jeszcze tak dalece i żaden z dzisiejszych prawdziwych poetów nieschlebiał ani możnym, przeto iż są możnymi, ani tłumowi, przeto iż może być potężnym, jak tego dowód mamy na Giustim, który niepochlebia nikomu.

Poeci naszych czasów nieszczycą się faworami dworów, ani ulicy; to też jeźli z jednéj strony nazywani są podpalaczami, z drugiéj „secondo i democratici circoli politici“ noszą imię „reazionari fradici“ i te dwa imiona towarzyszą im jak Giustemu aż do grobu, nad którym czasami, bo i tu niezawsze uspokaja się burza, i już jeden tylko epitet zostaje, zapieczętowany śmiercią ofiary.

Ostatnim bogdajby z poetów dworaków we Włoszech był ksiądz Monti, demagog, późniéj Napoleonista, pensyonowany od cesarza Ugo Foscolo już przełożył nędzę nad pochlebstwo, toż samo Giusti, który nikomu niepalił kadzideł i w nikim też ze spółczesnych szczerego nie miał przyjaciela — Jezuita, wrzeszczeli po roku 48 czerwoni, podpalacz przez zęby cedził piękny świat włoski — ani jedno, ani drugie, tylko Giusty (to jest sprawiedliwy).

Powtarzam, że co do prozy zdanie powyższe w zupełności podzielam, a mianowiciéj w piśmiennictwie francuzkiem, gdzie pisarze uważają zdolności swe jak każdy inny kapitał i służą temu, kto lepiéj zapłaci. — Są pisarze we Francyi gotowi każdéj chwili zadać fałsz historyi i wszelkiéj uczciwości, wynosząc swoich bałwanów, którym budują piedestal z szumnych frazesów i cnót wykomponowanych; znać, że grzech pozostał i tylko odczepił się od poetów, a przyczepił do prozaików, którzy w lirycznych uniesieniach grają komedyę sofistów, śmiejąc się ze świata, co ich słucha, z przedmiotu, który deifikują i wreszcie ze samych siebie, co schodzi na owe biblijne wyrażenie, wszelki człowiek kłamcą.

Język poezyi Giustego jest, jakby to powiedzieć, nieurzędowym językiem poetów, takim językiem pisane są Epistole Horacego, rodzaj gawędy, ale dowcipny straszliwie, rozmaity co do form, najczęściéj używa Glikoników, składających się z jednego spondea i dwóch daktylów, formy najczęściéj przez naszych używanéj poetów

— — | — v v | — v v

albo formy tak zwanéj pindaro-adonicznéj

— v v | — —

albo trzech wierszy saficznych i jednego adonicznego

— v | — — | — v v | — v | — v

— v v | — —

Każdy prawdziwy poeta jest wyrazem myśli swego czasu, którą oddaje jako testament wieku potomnym i szacunek dla niego nie jest czem innem, jak szacunkiem dla własnego dobra społeczeństwa; tak też pojmował poeta, o którego pracach wam donoszę, posłannictwo swe, wyrażając się w przedmowie do piątéj edycyi, jak następuje:

— „Książki jak i ludzie śmieją się w młodości swojéj, pełni jakoby przyszłości, jutro ustępują innym, a daléj żyją już tylko wspomnieniem. — Jam nieważał na tę prawdę pisząc, przeto iż czułem potrzebę pisania. Nienawidząc nikogo, chciałem, żeby się wszyscy poprawiali, chłostać nie miałem zamiaru i razem z moim krajem śnię i ja także snem pogodnym i wiarą pierwszéj młodości. Wiara nigdy nieopuszczała mojéj duszy (fede posso dire non essersi spenta mai nell animo mio), wiele z moich przewidzeń poetycznych doczekało się rzeczywistości, poezya trzymała mnie przy stoliku, a miłość jéj odsłaniała mi fantazye, które przylatywały jak jaskółki wiosenne i jak robaczki świętojańskie (luciole) przed dojrzewaniem zboża. Jak ciało ludzkie nabiera zdrowia, które się na policzkach pokazuje i w oczach, tak powracający do życia naród indiwiduami powstaje; a w kim najwięcéj zdrowia, czerstwości i pogody, ten jest największym dowodem życia narodu. Pisząc jak ja pisałem, niezmyślałem nic i nie dałem nic innego, oprócz sukienki (e non ci ho messo di mio altro che il vestito), kości i krew dał mi naród — pisząc i myśląc, byłem tłómaczem narodu, jego nadziei i niedoli, które go otaczały i mój naród dobrym okiem przyjął pieśni moje i nagrodził mnie z obfitości serca. Teraz kiedy lud, wieczny poeta, podnosi się w obec swojéj cudownéj, żywéj epopei, my biedni składacze strofek patrzymy i podziwiamy religijnie milcząc i wielbiąc dzieło Opatrzności. — Hymn nowego życia poczyna się w piersiach waszych, o młodzieży, spiesząca na pola Lombardyi rozlewać krew za ukochaną ziemię, i ja słyszę jéj przygrywkę i piję muzykę w milczeniu rozkosznem. Nam dane było uprzątać drogi, wam na nich sadzić laury i dęby, pod cieniem których przyszłe pokolenia odpoczną.“ —

„Pozwólcie, o wielkoduszni młodzieńcy, aby autor téj książeczki, przyjaciel wolności, która was natchnęła najświętszem przedsięwzięciem, ucałował czoła, piersi i ręce was wszystkich. Italia, matka nasza, zmartwychwstaje!“

Krytykom zaś swoim krótkiemi słowy odpowiada:

„Jeżeli wiesz, co jest lud i jeźliś zdolny myśleć, jak on myśli, zgodzisz się ze mną w tych wierszach; jeźli mnie rzucisz w błoto, jak czyni wielu, nie będę się spierał, ale powiem tylko, że rozmówimy się nadzy na dolinie Józefata. Jeźli mnie zaś o przyczynę wyzwania zapytasz, odpowiem, że nie dla czego innego, jak dla zaprzeczenia potwarzy, żeś mnie wziął za jednego z tych, którzy świat w zamieszanie pędzą.“

Tak się odpowiada potwarzom, rzucającym podejrzenie, raz o demagogizm, drugi raz o jezuityzm w oczy dusz, o których powiada Malczewski:

Komu niewinnéj duszy, co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta.

Kiedy cierpiący Leopardi zwątpieniami swymi przypomina Byrona, Giusty jest samym sobą, coś to niby francuzki Beranger, ale w swoim rodzaju, wesoły albo rozrzewniony do żywego, drwiący ala Krasicki, ala Beranger, ale najwłaściwiéj, jak Lazaron neapolitański, to znów przebolały do głębi serca, przekonanie o szczerości swéj w każdym z bezstronnych czytelników pozostawia. —

Że nie był bezbożnym, już z saméj powyższéj przekonywamy się przedmowy, a krom czego wiersze prawdziwie natchnione świadczą o jego religijnem usposobieniu, jak np. następująca: Ufność w Boga.

(Statua Bartoliniego).

Jakby nie bacząc na ciężar cielesny
Lecąc ku temu, co chętnie przebacza,
Zgina kolana i opuszcza słodko,
Jednę i drugą, obie piękne palmy!;
Ból przekonany i spokój niebieski
Widzieć się daje na postaci całéj,
A na tym czole, co z Bogiem rozmawia,
Duszy połyska nieśmiertelny promień.
I zda się, mówi: jeźli słodycz zwodzi,
I w czasie, w którym śniłam spokój cichy,
Czuję niknące w całéj sobie życie.
Panie! ja ufam ojcowskiemu łonu,
I spieszę spocząć spoczynku pragnąca,
W uczuciu owem, co jedno nie z ziemi.

Wesołość umysłu każe domyślać się, powiada Ancilon, pewnéj niepodległości ducha, który śmieje się ze wszystkiego i ze samego siebie; stan podobny graniczy blizko z demoralizacyą zupełną. Takim był stan umysłów we Francyi w epoce Rejencyi; nie była to żądza rozkoszy, namiętności rozpasanych, ale rozpusta duchowa, nieznająca żadnéj powagi, żadnéj prawdy, żadnéj świętości. Za naszych czasów podziwialiśmy podobny fenomen w Henryku Heyne; co do Giustego, ten kochał jednę rzecz, która go wybawiła, która niedozwoliła mu rozbić się na skałach szyderstwa, jutrzenkę swego narodu, kochał wolność.

Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości; owóż część z tego błogosławieństwa i na żołnierzy wolności (chociaż ta myśl sprzeciwiać się może niektórym dziennikom francuzkim) przypada.

Jednym z najpiękniejszych wierszy Giustego jest oda na odkrycie we Florencyi portretu Danta, malowanego przez Giota.

„Jakąż ci cześć okażę, o pierwsza chwało włoska, któremu okazała, co może mowa nasza; — powiedz, jak powróciłeś do nas z miejsca, które wypełnia wszystkie życzenia; także ziemia rodzinna sercu twojemu drogą, żeś dla niéj powrócił na ten świat gorzki bez końca, i czemże rozweselisz się tu, gdzie się płacze tylko; za pomocą bożą tyś się postawił tak, że żadna nędza nasza nie dotyka ciebie. W umysłach naszych tyś rozwiązał wątpliwość i zadowolnił to słodkie życzenie, że długo zachowane w sławie, oczy twoje własnymi oczy ujrzymy.

Na twarzy twojéj rozlana pogoda, smutek się oczy pełnymi wyraża, spojrzenie poważne i żywe błyszczy się godnie tak wysokiéj myśli w zwierciedle twego ponurego czoła, jak w wodzie morskiéj, świeci dusza pewna, czująca się czystą.

Takim byłeś w twojem Vita nuova (nowe życie; pierwszy poemat Danta), kiedy cię gwiazdy szczęśliwe uniosły i okazały wartość twoją, kiedy późniéj zostawiłeś swoją najmilszą i wszedłeś w lasy ciemne niepewny i samotny, uzbrojon w pióra na wysokie loty.

Takim chciałeś zatrwożyć lud niesprawiedliwy, takim wygnany z przedziwnego gniazda, żebrałeś życia chłostany biczami, których ci twoja nie żałowała fortuna. O mistrzu! sława italska zagasła i ziemia włoska pod władzą tyranów, a każdy, kto się wiernym jéj ogłasza, może być pewnym rychłego męczeństwa. — O dziś zaiste, wieszczu nieśmiertelny, tybyś niepragnął w ogrodzie wszech krajów, Cesarza Niemców, widzieć z jego szpony i te książątka, które rozdzierają Lombardyą naszą, Wenecyą, Modenę, Parmę, Florencyą, któréj niewystarcza z październikowéj przędzy do dni Grudnia, naród bez sławy. I kiedyż, kiedy, o mistrzu szlachetny, po tylu nędzach, po ruinach tylu odnowi ziemię tę łacińską nasza miłość, co słońce i gwiazdy porusza.

Rok 1848—49 i nieszczęśliwa miłość przyspieszyły wczesny zgon poety — po nieszczęśliwéj przegranéj pod Nawarą ziemia włoska znów mu się przedstawiła taką, jak ją opisywał Geibl:

Rzekłbym nawet, że ten cały, kwiatów twoich świetny strój,
Przylegl do schorzałéj skroni, jak śmiertelny wieniec twój,
I że Wezuw i ta Etna na to przechowują żar,
Żeby jak pochodnie stały u twoich króleskich mar.

Poczerniło się piękne niebo włoskie i wieczna noc zaszła na te oczy, które z takim wytężeniem oczekiwały powrotu Oddyssea.

Pochowany na San Miniato w kościele, do którego wiodące schody Dante schodami czyścowymi nazywa, z wierzołka góry panującéj nad Florencyą podziwia swą piękną ojczyznę, na wzór któréj Beato Angelica i Andrea Oreagna wyobrażali mury Jerozolimy niebieskiéj i cieszy się ze zwycięztwa myśli, któréj całe życie poświęcił.

W następnym liście doniosę wam o życiu i pracach malarza i poety Salvatora Rosy, którego nowa edycya zupełna leży przedemną.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego.